

## Rozdział 1

Siedział na tym krześle. Sophie nagle zobaczyła go tak dokładnie, że jej serce ścisnęło się boleśnie. Zamiast soczewek, miał okulary, żeby wyglądać na intelektualistę między studentami Sorbony, którzy chętnie odwiedzali tą Kafejkę. Śmiała się, kiedy z jego żartobliwej wypowiedzi zrozumiała o co mu chodziło. Wiedziała, że nic nie mogło zepsuć nastroju tego dnia. Był szczęśliwy, bo przyjęła jego propozycję małżeństwa - koło białej kopuły Sacre-Coeur, u jej stóp dachy Paryża, letni wiatr we włosach. Nawet z oprawkami szkielec, które pomniejszały mu trochę oczy, jego uśmiech promieniał miłością, tak silną, że jeszcze nadal odczuwała jej ciepło. Czowała, jak kąciki ust, same podnoszą się w górę, jak gdyby jej twarz była lustrzanym odbiciem tego, co fingowały jej wspomnienia. »Un café?« Kelner, owinięty niedbale białym fartuchem, jakby rącznikiem po kąpieli, przesunął się między nią a krzesłem, które ponownie stało puste, mimo zawsze pełnej restauracji.

Ten widok stał uśmiech z jej ust.

»Non, merci.« Sophie spojrzała na młodego Azjatę, naprawdę go nie zauważając. Kawa rozbudziła ją, rozjaśniła myśli, świadomie wyostrzyła prawdę, której nie mogła sprostać. »Poproszę o rachunek.«

»Oczywiście«, odparł kelner umiejętnie układając na ramieniu talerze i sztucę na stercie niebezpiecznie ułożonych już naczyń, zręcznie lawirując.

Powiedział dobitnie, ale Sophie nie uszedł uwagi podtekst wypowiedzi. Odrzucenie, brak zrozumienia, emocje, które za tym stały, każdego innego wieczora odrzuciłaby ze wzruszeniem ramion, ale teraz wchodziły w jej bezbronną zranioną duszę jak trujące żądło. Instyktownie spuściła głowę i ramiona, wycofując się w głąb swego wnętrza. Po prostu nie było dla niej na tym świecie miejsca. Nikt nie rozumiał tego, co straciła, nawet jej matka. Najmniej jej matka. Ona nigdy nie lubiła Rafael.

Milczący kelner przechodząc obok, położył na stole mały talerzyk z rachunkiem. Sophie mechanicznie wygrzebała portfel z kieszeni umieszczając wyliczone monety na banknotach, tak aby nie zostały zwiane. Była już wystarczająco długo w Paryżu, aby ponownie sobie przypomnieć o zwyczajach francuskiego codziennego życia, które mogą zdradzić ją jako cudzoziemca. Na co dzień odwiedzała szkołę nauki języka obcego, aby pozbyć się pozostałości akcentu.

*Francuzka wypiłaby kawę*, pomyślała melancholijnie i wstała. Kelner skinął do niej głową podczas, gdy przeciskała się między obleganymi zbyt małymi, zbyt wąsko ustawionymi stołami. Nawet jeśli jeszcze krzyknąłby jej na pożegnanie, jego głos zostałby stłumiony w hałasie i zgiełku. Sophie odpowiedziała skinieniem z wymuszonym uśmiechem i wyszła.

Mimo, że drzwi kawiarni były otwarte, dało się wyczuć różnicę w świeżości powietrza na zewnątrz. Deszcz porwał ciepło i zmył kurz lipcowego dnia do kratki ulicznej. Drżąc, Sophie spojrzała w górę. Jej wzrok zsunął się po fasadach wysokich szarych domów, gdzie wykute ozdobnie balustrady balkonowe, tylko nieznacznie ujmowały im powagi.

Powyżej poprzez dachy i kominy widać było pasy czarnych chmur nocnego nieba, z których od czasu do czasu spadały jeszcze krople. Mokra liście drzew lśniły tam gdzie padało światło z latarni ulicznych. To sprawiało, że Boulevard Saint-Michel mienił się i błyszczał, ale z drugiej strony światła liście znikwały w mrocznym cieniu.

Zaskoczona Sophie zamrugła, gdy duża, zimna kropla spadła na jej policzek. Rozproszona woda spływała w dół jak łza. Jakby już nie wystarczająco długo płakała. Jakby miała kiedyś w ogóle przestać... Nowi goście, wchodzący do kawiarni, patrzyli na nią z zaciekawieniem. Schodziła im z drogi, bardzo zawstydzona, przemykając między stolikami i krzesłami.

*Po co ja tu tak bezsensownie stoję?*

Drżąc naciągnęła kurtkę i założyła kaptur. Czarna tkanina chroniła ją przed współczującymi spojrzeniami, deszczem i całym otaczającym ją światem. Z oczami utkwionymi w lśniący asfalt, ruszyła w stronę Sekwany.

W szkole nauki języka uczniowie chwalili bar w dzielnicy Marais, gdzie spędzali wieczory. Może tam spotka Teresę z Pragi lub zabawną Włoszkę Francescę - kogokolwiek, kto odwróciłby jej uwagę od przepaści, nad którą balansowała.

Nie musiała podnosić wzroku. Do mostu Saint-Michel szło się prosto. Zamyślona, ledwo zauważyła za wysokim płotem wśród drzew, ukryte ruiny rzymskich łaźni, zanim nie potknęła się na krawężniku. Na ulubionym Boulevard Saint-Germain nie można było przejść z zamkniętymi oczami. Ale tutaj znała na pamięć nawet kolejność witryn sklepowych i lokali, bo każdego ranka przechodziła obok nich w drodze do metra.

Miała nadzieję, że szkoła i poszukiwania pracy odwrócą jej uwagę od żalu. Pomogą jej zapomnieć o czasie spędzonym z Rafe i pozwolą rozpocząć nowe życie. Zamiast tego, czuła się bardziej samotna, niż kiedykolwiek. Skąd mogła przypuszczać, że tak wiele w tym mieście, będzie jej przypominało, o krótkim urlopie, który z nim tu spędziła? Po drugiej stronie ulicy usłyszała szelest fontanny na Place Saint-Michel i wyobraźnia od razu przypomniała jej zdjęcie, jakie zrobił jej tam Rafe.

Z perspektywy czasu, ten obraz wydawał się niemal proroczy. Kiedy tak mała i zagubiona stała między dwoma skrzydlatymi smokami fontanny plującymi wodą na stojącego pośrodku Michała Archaniola z uniesionym mieczem, wyglądali na posłusznych strażników. Wysoko za nią wznosił się wojownik z brązu. Sophie czuła się jak ofiara pod jego stopami - zwyciężona, pobita i wrzucona w pył przez siłę przeznaczenia.

Co jej pozostało? Zadała sobie pytanie, kiedy szła przez most na Île de la Cité. Śmierć zabrała miłość jej życia. Musiała opuścić mieszkanie i pracę w Stuttgarcie, aby po ślubie z Rafe przeprowadzić się do Hamburga. Po ślubie, który nigdy się nie odbył. Zamiast iść przed ołtarz jako panna młoda w bieli, stała w czerni przed trumną z bukietem róż w ręku.

Sophie zwalczyła wzbierające łzy. Co pomyślą sobie Teresa i Francesca, kiedy pokaże się w barze z opuchniętymi od płaczu oczami? Obie korzystały z urlopu szkoleniowego, aby zatracić się w paryskim nocnym życiu. Z cieniami pod oczami, zaczerwienionymi ze zmęczenia, siedziały w ciągu dnia na zajęciach, zwalczając nasenny efekt głosu pana Oliviera, który zatracił się w wykładach o rosnącym znaczeniu międzynarodowych rynków finansowych dla gospodarki francuskiej.

Sophie domyśliła się, że inni też brali ją za bywalczynię imprez, gdy pojawiała się w szkole blada z obrzękiem powiek. Nie chciała rozmawiać z nieznajomymi o Rafael'u, a zatem nie mogli wiedzieć co nadal dla niej znaczył. W ciągu ostatnich kilku tygodni dość często to przeżyła. Czuła się tylko gorzej, kiedy zażenowani ludzie wyrażali współczucie, a za plecami szeptali o niej z litością.

»Merde!«

Głośne przekleństwo wyrwało Sophie z zamyślenia. Głos dochodził z za podartego parasola, z którym im bardziej jego właściciel brutalnie walczył, starając się go otworzyć, tym większy stawiał opór, krzywiąc się i wyginając. Kiedy przeleciał obok niej jak nietoperz z drutu i poliestru, Sophie spostrzegła, że deszcz stał się znów silniejszy.

Krople lądowały na jej kapturze, tak jakby pukały, przed przeniknięciem przez materiał na jej włosy. Zmartwiona spojrzała w górę. Jak daleko był do Rue Vieille du Temple?

Rozejrzała się, wąska ulica, którą bezmyślnie podążała, wydała się jej nie znajoma. Szereg barów i kawiarni, z których dochodziła muzyka i głosy, usytuowane były w jednym ciągu, przerywanym kolorowymi fasadami małych sklepów. Skutery zaparkowane na chodnikach tamowały przejście, dlatego wielu pieszych o tej godzinie preferowało przejście środkiem betonowej uliczki.

W świetle staroświeckich latarni dziwnie ubrane postacie śmiejąc się, spieszyły przez noc. Inni, mniej zwracający uwagę śpiesznie mijali Sophie, trzymając gazety lub duże torby nad głowami. Zdawało się, że deszcz nie przeszkadzał tylko dwóm młodym mężczyznom, którzy stali objęci obok wejścia do klubu. Ale nawet bez tych dwóch Sophie zauważyła, że była już w Marais, olśniewającej dzielnicy, która była tak popularna wśród lesbijek i gejów. A więc nie całkiem się zgubiła.

Tuż za następnym rogiem ponownie poznała kilka sklepów i z ulgą ruszyła drogą do Rue Vieille du Temple. Nie powinno być daleko. Jak się nazywał ten bar? *Les Etrangères*? *Les Equipages*? Sophie przyśpieszyła i skręcając w ulicę pełną butików, galerii sztuki i drogich sklepów, starała się odszukać jasny, wąski dom, który opisała jej Francesca.

*Les Étages*. Oczywiście. Teresa mówiła przecież, że bar rozciągał się przez trzy piętra. Przez otwarte drzwi padało światło i odbijało się połyskując w kałużach na chodniku.

Ze swej perspektywy, Sophie nie mogła zobaczyć, co skrywały wysokie okna na wyższych piętrach, ale nie była, aż tak ciekawa. Od czasu śmierci Rafe, każdy bar wyglądał tak samo.

Szepcząc »*Pardon*« przecisnęła się obok grupy młodych ludzi, niezdecydowanych z wyjściem na deszcz. Za ledwie znalazła miejsce do ściągnięcia przemoczonej kurtki. Buchnęło w jej stronę ciepłe powietrze, nasycone perfumami, potem, wymieszane z zapachem wina, przypraw i smażonych potraw. Koktajle dodały do mieszanki słodkiej i wysoko procentowej nutki, podczas gdy tace pełne tapas, które niosła przed sobą kelnerka, wydzielaly odrobinę soli i oliwy. Przy stołach głośno rozmawiano, dyskutowano, śmiano się. Głosy i muzyka w tle, połączyły się w chaotyczny gwar i hałas. Sophie odrzuciła wszelkie odczucia na bok, gdy jej oczy wędrowały po sali. Nigdzie nie było widać Francesci i Teresy, a więc weszła po schodach na górę.

Tam było również głośno i radośnie, choć w lokalu nie było tak tłoczno jak na dole. Skończył się happy hour i miała nadzieje, kiedy nie zauważyła nikogo znajomego, że dla prawdziwych bywalców, być może było jeszcze za wcześnie. Niektórzy goście uchwycili jej szukające spojrzenie i odpowiadali pytającym, dopóki nie uświadomili sobie, że uwaga Sophie nie była skierowana na nich. Chociaż nie chciała aby ktoś do niej zagadał z każdym odwracającym się spojrzeniem, czuła się coraz więcej obco i samotnie.

Zniechęcona, kontynuowała dalej zwiedzanie, ale bez powodzenia również na ostatnim piętrze. Najchętniej poszłaby do domu, ukryłaby się tak jak zawsze w swoim pokoiku i czekała, na sen przepelniony gorzko - słodkimi wspomnieniami. Ale, musiałyby zdobyć się na ponowne wyjście na deszcz.

Może powinna chwilę poczekać na dziewczyny. Zamówiła legendarne truskawkowe mojito, o którym tak entuzjastycznie mówiła Teresa i usiadła przy małym, wolnym stoliku, z którego mogła obserwować schody.

Sophie starała się tak wyglądać, jakby było całkowicie normalne samotnie siedzenie późno w nocy i popijanie koktajlu w barze. Była pewna, że to się jej nie udawało. Wielokrotnie przytapywała się, jak palcami napuszała swoje włosy sięgające do ramion, spłaszczone od mokrego kaptura. Dlaczego nie może wyglądać wyjątkowo, jak diva z Hollywood w tragicznym filmie?

*Bo tragedia w życiu oznacza tylko rozmazany tusz do rzęs i emanacja ponurego deszczowego dnia.* Skosztowała swojego napoju z lodem mieszając go słomką. Słodki napój przyklejał się do zębów, bez względu na to, jak często przejeżdżała po nich językiem. Fakt, że przy tym, wyginając wargi i brodę, wyglądała pociesznie, uświadomiła sobie dopiero kiedy poczuła, że jest obserwowana. Zaskoczona, spojrzała w górę, podczas gdy napływająca krew zabarwiła jej policzki. Jej wzrok skrzyżował się ze wzrokiem mężczyzną, który siedział sam przy stole pod ścianą. Puste kieliszki wskazywały, że wypił swoje wino w towarzystwie, więc Sophie miała nadzieje, że niebawem zniknie tak jak jego koledzy.

*Weź się w garść!*, skarciła się. Nieznajomy nie był pierwszym i nie jest ostatnim człowiekiem, który oglądał młodą kobietę, przypadkowo siedzącą w tym samym barze. Musiała tylko demonstracyjnie odwrócić wzrok i nie dać mu żadnej innej zachęty, wówczas szybko straci zainteresowanie. W sposób w jaki odwróciła się, aby powrócić do obserwowania schodów, jej samej wydał się przesadny.



Gdzie się podziały te dwie Party Lwice, wtedy gdy są potrzebne? Kurczowo unikała ponownego spojrzenia ku nieznanemu. Na samą myśl o jego mrocznej twarzy, przeszedł ją dreszcz. Ale dlaczego? Nie było nic nipojącego w jego matowo- ciemnych, już siwiejących włosach, źle ogolonych policzkach i gęstych brwiach. Ale jednak, poczuła niemal fizycznie jego przenikliwe spojrzenie. Jej palce nerwowo wyrywały liście mięty, które zdobiły Mojito. Ten świeży zapach mięty, tak przez nią lubiany, teraz powodował nudności. *Dlaczego przyszła do tego głupiego baru?* Powinna iść po kolacji do domu i uczyć się do egzaminu końcowego.

Niewyraźne, kątem oka zauważyła, że facet wciąż się w nią wpatruje. Od razu uświadomiła sobie ciemną, groźną stronę tego miasta. Przypomniała sobie krzyki, które usłyszała pewnej nocy przez otwarte okno, szybkie kroki i zdenerwowane głosy. Nie zrozumiała żadnego słowa i z bijącym sercem usiadła wówczas na łóżku i wsłuchiwała się w ciszę, jaka zapadła. Jeśli kiedykolwiek w Paryżu można było mówić o ciszy...

Wystraszyła się, kiedy ludzie przy sąsiednim stoliku, wybuchli śmiechem. Nieumyślnie, spojrzała na faceta, który tak bardzo ją przerażał. Jego oczy z pod ciemnych brwi, bezwstydnie skierowane były na nią i to było chyba gorsze, niż gdyby podszedł i odezwał się do niej. Po tym wyglądał na bardziej zachęconego. Sophie wyobraziła sobie, gdyby tylko opuściła lokal, go idącego za nią w milczeniu. Musiałaby go jakoś przechytryć.

Nagle wstała, chwyciła swoją kurtkę i pobiegła do toalety. Przed umywalką spojrzała w lustro. Była blada, ale ze strachu powychodziły jej czerwone plamy na policzkach.

Ciemno blond włosy wisiały poplątane, oczy wyglądały na zbyt duże na zmęczonej twarzy. Czy tak wyglądała łatwa ofiara?

Odetchnęła głęboko, założyła mokrą kurtkę i kaptur na głowę. Kiedy jakaś kobieta weszła, porzuciła wątpliwe schronienie. Już wcześniej postanowiła, że nie wróci do stolika. Zamiast tego, wcisnęła zdziwionej kelnerce do ręki dziesięć euro. » Pour un mojito à la frais«

»Ale ...«

»Bez reszty« weszła w jej słowo, i pośpieszyła do wyjścia. Miała nadzieję, że ten straszny facet siedział jeszcze nieświadomy jej wyjścia, ale nie śmiała się odwrócić, aby się upewnić. Każda sekunda przewagi może być decydująca.

Na zewnątrz, pobiegła, aż oddzieliło ją od Les Étages kilku przechodniów. Szybko skręciła w następną ulicę, zatrzymała się i opierając o ścianę wyrzała z za rogu na bar. Nic. Podejrzenie lustrowała postaci, które chowały się za podniesionymi kołnierzami i parasolami, ale nikt nie wydawał się jej znajomo. Kobieta, która szła pod ramię ze swoją przyjaciółką lub kochankiem, rzuciła jej na pół rozbawione, pół żartobliwe spojrzenie. Sophie stłumiła uśmiechu i cofnęła się od ściany. Nie wyobraziła sobie przeciaż tego nieprzyjemnego obserwatora. Jeśli pozbyła się go przez swoje pośpieszne wyjście, tym lepiej.

Potrząsając głową, poszła dalej i szła prosto w kierunku Sekwany, którą musiała przekroczyć ponownie ,aby dostać się do domu. Powoli uspokoiło się jej bicie serca. Odwróciła się po raz drugi. Żadnego mrocznego spojrzenia, które ją prześladowało.

Deszcz zamienił się w ledwie zauważalną mżawkę. Napięcie wyparło bolesną pustkę, która była przez miesiąc najbardziej lojalnym kompanem - od momentu rozmowy telefonicznej przez, którą jej życie zostało zrujnowane jednym ciosem.

Znikająca adrenalina pozostawiła uczucie zmęczenia i wyczerpania, a od wilgotnej kurtki zimno wkradło się pod skórę. Jej usta były suche, zęby od cukru i soku z truskawek klejące. *Jestem wrakiem. Co ja tu w ogóle robię? Powinnam już być w domu.*

W domu. Paryż nie był jej domem. Puste mieszkanie w Stuttgarcie też nim nie jest. Nie było miejsca, do którego należała. Jej rodzice mogą widzieć to inaczej, ale co oni tam wiedzieli? Nie rozumieli, że jej dom był tam gdzie był Rafael. Ani pokój w Stuttgart-Hedelfingen czy w Dzielnicy Łacińskiej, nie mogły tego kiedykolwiek zastąpić. Paryż, światła, zapachy z barów, hałas i gwar, śmiech zakochanych par ... nie mogła już znieść tego wszystkiego. Hektyczne dancefloorbeats z klubu, drżenie żołądka wywołane przez bassy, wypływające z okien przejeżdżających samochodów, wesołe wibrujące gruchanie francuskiej piosenkarki pop ... Próbowwała nie myśleć o niczym, nie słuchać nic więcej, nic nie widzieć, ale to chyba tylko dozwolone było martwym. Brzmienia Fortepianu niemal niepostrzeżenie wkradły się do jej uszu, zanim przyśpieszyła tempa, aby uciec przed następującymi gitarowymi riffami, rozbrzmiewającymi z innego baru. Od brzegu Sekwany - gdzie od paru dni, trwały ostatnie przygotowania do otwarcia sztucznych plaż lata - przenikały przez drzewa rytmy afrykańskiego bębenka. Sophie uciekła przez Pont Marie na Île Saint-Louis, które wydawało się jedyną oazą spokoju w tym hedonistycznym mieście.

Wreszcie otaczała ją cisza i gorączkowe uczucie opadło. Jej myśli wirowały jeszcze chaotycznie, ale nie starały się już przekrzyczeć zewnętrznego hałasu.

Ponownie usłyszała dźwięk fortepianu, tym razem w swojej pamięci. Melancholijna sekwencja czterech dźwięków . Wewnętrzne głosy umilkły, dźwięki powtórzyły się. Przypomniała sobie piosenkę, melodie, usłyszała nucenie piosenkarza. *Baby, join me in death*. Piosenka ciągnęła się w nieskończoność (Ohrwurm). Lubiła ją, choć irytował ją tekst. Teraz przypominała sobie kawałek po kawałku. Z każdym krokiem, z którym zbliżała się do mostu. powracały dalsze pasaż. *This world is a cruel place. We're here only to lose. Nie miałam pojęcia. Jeszcze nic nie straciłam.*

Piosenkarz, którego nazwiska zapomniała, wykrzykiwał ból i tęsknotę. Zawodziła ją pamięć, czy był może nawet trochę podobny do Rafaela? Nie, żeby Rafe kiedykolwiek tak mizernie wyglądał lub malował się, ale z daleka...

*Before life tears us apart, let death bless me with you.* Jak mogła na to pozwolić, żeby życie rozdzieliło ich. Dlaczego nie umarła razem z nim, kiedy trafiły go śmiertelne pociski? Obiecali sobie, że będą razem na zawsze, ale i tak pozwoliła mu podróżować samemu. Być może jeszcze by żył, być może wybraliby tego dnia inną drogę lub nie wyjechałby z oddalonej wioski. *Być może.*

Wyszła z cienia domów i przekroczyła zadrzewioną promenadę. Po drugiej stronie mostu jaśniały światła Dzielnicy Łacińskiej, ale po tej stronie Pont de la Tournelle trudno było usłyszeć cokolwiek z odległego życia nocnego. Ciemne i powolne wody Sekwany płynęły leniwie jakby zbyt zmęczone, po zachodzie słońca, marzyły o cichych lasach i wzgórzach. Mokra kamienna poręcz mostu była zimna pod jej dotykiem, ale ledwo to odczuwała. To nie było ważne. *This life ain't worth living. So won't you die?*

Kroki za nią sprawiły, że wstrzymała oddech. Zamarła, ale ktokolwiek to był, przeszedł tylko obok. Kroki oddaliły się.

Sophie spojrzała w górę i zobaczyła oświetlone miasto, odbijające się w rzece. Jak cudowny okazał się nocny Paryż podczas jej pierwszej wizyty. Ale wtedy Rafe był z nią. Teraz piękno ziębiło ją jak skała pod jej palcami. Teraz szczyt wieży Eiffla był relikwią bez znaczenia, Notre Dame jakąś budowla z odległej przeszłości. Chciała umrzeć? *Baby, join me in death. Czy wtedy będzie znowu z Rafe?*

Patrzyła na oświetlone wieże katedry. Bóg nieszczególnie cenił samobójstwo. Wyzywająco wyciągnęła brodę. Nie było Boga. Gdyby istniał, jak mógł pozwolić na śmierć Rafe'a? Jak na ironię, Rafe, każdemu chciał zawsze pomóc! Dumny niegdyś powiedział jej, że Raphael oznacza *Bóg leczy* i dlatego jego powołaniem było zostać lekarzem. Ale Bóg go nie uleczył. *I mnie nie leczy.* Drżąc, wspięła się na szeroką balustradę mostu, gdzie przy dobrej pogodzie mogłaby wygodnie siedzieć i machać nogami. Ostrożnie zsunęła się bliżej krawędzi. Teraz gdy nic nie oddzielało jej, od szarej wody, płynącej znacznie niżej pod nią, zrobiło się jej niedobrze. Dokładnie i mozolnie starała się stopami odszukać gzymsu przy podstawie balustrady i kolana się pod nią ugięły, kiedy podstawa pod jej ciężarem zaskrzypiała i trochę uległa. Niespokojnie przełożyła swój ciężar, jednakże dalej trzymała się poręczy. Woda cicho, chlapała o filary z cegły. Wyobrażała sobie, jak przez jej ubrania przenika i owija ją lodowate zimno śmierci. Wtem łomotanie dużego silnika Diesla, obudziło ją jakby ze snu. *Nie!*

Panicznie trzymała się kamiennej krawędzi. Za żadną cenę nie chciała z połamanymi kończynami wylądować na pokładzie statku rejsowego i być obserwowana przez turystów, którzy jej zdjęcia wysyłałiby na cały świat, przez aparaty w telefonach komórkowych.

Kil, który podpłynął z boku, kilka metrów poniżej, nie należał do nowoczesnych, prawie całych ze szkła statków, tylko do starych pomalowanych na ciemno łodzi, którą przebudował właściciel w pływającą restaurację.

Klienci pozostali dla Sophie ukryci pod dachem, ale przez okna mogła zobaczyć część starannie nakrytych stołów. Jej palce zrelaksowały się trochę. Musiała tylko poczekać, aż statek kawałek odpłynie. Nikt jej nie zauważył.

W końcu pod nią ukośnie przepłynęła rufa statku. Sophie instynktownie, przycisnęła się ciaśniej do poręczy, kiedy zauważyła trzech rozmawiających mężczyzn, stojących na niezadaszonej części pokładu. Ryk silnika, odbijający się echem o łuk mostu, tłumił ich głosy. Jeden z trzech wyciągnął zapalniczkę i zapalił papierosa.

Serce Sophii zatrzymało się na jedno uderzenie. Nie dowierzając spoglądała na dół na twarz mężczyzny, która stała się w migoczącej poświacie widoczna. Jej usta poruszyły się, ale nie wydała żadnego dźwięku, podczas gdy łódź kierowała się między Ile Saint-Louis i Ile de la Cité. Gdy ogień zgasł, ciemność ogarnęła mężczyzn. Z jej szorstkiego gardła wydobył się złamany chichot: »Rafe!«